

Poemat o mieście Lublinie i jego fotografie

Seria zdjęć Lublina wykonana przez Czechowicza zimą lub wczesną wiosną 1934 roku pozostaje bez wątplenia w ścisłym związku z opublikowanym w tym samym roku (wspólnie z Franciszką Arnsztajnową) tomem *Stare kamienie* w całości poświęconym miastu oraz z przygotowywanym właśnie przez poetę *Poematem o mieście Lublinie*, który został pomyślany jako scenariusz poetyckiej audycji radiowej. Jest to związek szczególnie i głęboki.

Wydawca, publikując *Poemat* 25 lat po tragicznej śmierci poety, słusznie zaopatrzył tekst utworu w te z pozoru najzwyklejsze zdjęcia rodzinnego miasta. Gdy przypatrujemy się dziś tym fotografiom, musimy pamiętać, że są one istotnym składnikiem Czechowiczowskiej wizji miasta, choć ich charakter różni się bardzo od obrazu zawartego w słowie poetyckim. W swej realistycznej i zapewne specjalnie podkreślanej szarości dnia codziennego stanowią jakby drugą stronę *Poematu*, w którym dominuje odrealniona, nabrzmiała symbolicznymi znaczeniami odświętność. Nawiązując do terminologii fotograficznej, można by je nazwać „negatywami” obrazu miasta zawartego w *Poemacie*.

Lublin w cyklu siedmiu wierszy składających się na *Poemat* ukazuje się nocą, w świetle księżyca, owiany mgłą i nastrojem dziwnej, arkadyjskiej wręcz cudowności, jakby zawieszony w bezczasie. Wyludnione, wymarłe ulice i zaułki z nielicznymi tylko śladami ludzkiej obecności, jak zapach piekarni na Szerokiej czy śpiew chóru dobiegający ze Złotej, podkreślają stan niczym nie zmaconego spokoju księżycowej nocy, ale jednocześnie dziwnie niepokoją, przywołując na myśl skojarzenia z toposem miasta umarłych. Na zdjęciach przeciwnie, dominuje szarość i beznamiętność zwykłego dnia. Widzimy ludzi i ruch uliczny, odrapane mury kamienic i zapadające się domki żydowskich przedmieść, na ulicach przyzmy brudnego śniegu, sine bez wyrazu niebo. Ukazują się nam miejsca charakterystyczne dla pejzażu starego Lublina, jak i takie, które jedynie z pewnym prawdopodobieństwem można rozpoznać. Często są to miejsca już nie istniejące, ulice i zaułki, które w 1943 roku zostały unicestwione wraz z całą Dzielnicą Żydowską.

Oto potężna, charakterystyczna wieża Bramy Krakowskiej. Zegar na wieży wskazuje czas - jest 10.10. Przed bramą stojące grupy mężczyzn. Niektórzy przytupują z zimna. To najprawdopodobniej bezrobotni gromadzący się stale w okolicach pobliskiego magistratu. Za bramą rozpoczyna się obszar zwartej zamieszkania ludności żydowskiej. Brama Krakowska stanowi także granicę socjologiczną. Oddziela bogate i czyste Śródmieście od biednych i zaniedbanych obszarów Starego Miasta i rozłożonego u podnóża Zamku historycznego getta. Oto ulica Jezuicka, biegnąca wzdłuż starego kolegium, a dalej ulica Złota sfotografowana od strony Rynku, bohaterka pięknego wiersza, wiodąca do potężnych murów kolegiaty i klasztoru ojców Dominikanów. Obie ulice w obrębie

Starego Miasta tworzą enklawę zamieszkałą przez ludność chrześcijańską. Rynek otoczony masywnymi kamienicami o wypukłych ścianach - w jego misę spaść ma jak perła księżyc błędzący po stromych dachach - to miejsce, o które pamięta czasy toczonych przez wieki sporu między kupcami chrześcijańskimi i żydowskimi o prawo handlu, zakończonego dopiero w 1862 roku na mocy ustaw hr. Wielowiejskiego, znoszących wszelkie przywileje kupieckie. Oto na kolejnym zdjęciu widzimy Bramę Grodzką, zwana też Żydowską, sfotografowana od strony ulicy Zamkowej, wąskiej i ciasno zabudowanej uliczki biegnącej wysokim nasypem łączącym Stare Miasto i Zamek. Ulica Zamkowa to już historyczne getto. Zaczynało się ono w tym właśnie miejscu, a Brama Grodzka łączyła (bywały też okresy, w których dzieliła bardziej niż łączyła) te dwie odrębne kulturowo, religijnie i prawnie przestrzenie urbanistyczne, aż do czasu ustaw Wielopolskiego, kiedy uboga ludność żydowska zasiedliła z czasem prawie całe Stare Miasto. Świetność rynku jako centrum handlowego należała już wtedy do historii, a bogatsi mieszczaństwo dawno przenieśli się na Krakowskie Przedmieście, bądź też, jak to było w przypadku bogatszych Żydów, na wytrasowaną w połowie XIX wieku ulicę Lubartowską, szybko przekształcającą się w nowe centrum (handlowe i kulturalne) Dzielnicy Żydowskiej.

W prześwicie bramy widzimy ulicę Grodzką dobiegającą tu od rynku. Wilgotny połyskliwy bruk z charakterystycznym rynsztokiem, który skręca przed fotografem w dół, w kierunku ulicy Szerokiej. Wiodą tam też widoczne na zdjęciu schody (istniejące do dzisiaj). Odrapane tynki domów. Afisze w języku żydowskim (widać je też na innych zdjęciach). Dina Halpern to chyba śpiewaczka, kim był E. Erlich? Spośród szarego tłumu przechodniów wypełniającego bramę wyróżnia się eleganckim ubiorem postać mężczyzny. Długie, czarne palto, sfasonowany kapelusz. Pewnym krokiem zmierza w kierunku fotografa. Dokąd idzie? – moglibyśmy zapytać. Pytanie to zadane z perspektywy dnia dzisiejszego jest pytaniem o tragiczną symbolikę tych kroków. Otwierają one wszak przestrzeń, która na zdjęciu nie została przedstawiona, lecz rozpościera się poza kadrem i za plecami fotografa na sposób kartezjańskiej oczywistości. Jest to przestrzeń, w której istnieją ulice: Szeroka - centrum handlowe i religijne starego getta, malownicza Krawiecka, oplatająca wzgórze zamkowe i gubiąca się w gąszczu własnych odnóg i zaułków, ulica Podzamcze, przebiegająca bliżej wzgórza, równoległa do Krawieckiej, jeśli w ogóle można użyć tej euklidesowej kategorii do opisu miasta o zaiste nieeuklidesowej geometrii, ulica Jateczna z Wielką Synagogą pod zamkiem, a dalej zmierzająca w kierunku starego kirkutu, i wiele innych ulic i uliczek często nawet bez nazwy wypełnionych gwarem życia zazwyczaj ubogiego, a nierzadko pogrążonego w nędzy, toczącego się tu od setek lat tym samym, niezmiennym rytmem.

Na innych zdjęciach poety widzimy właśnie te ulice, place, zaułki i mieszkańców zajętych codzienną egzystencją. Jest ulica Krawiecka sfotografowana pod zamkową kaplicą, miejscem jakże ważnym w topografii czechowiczowskiego miasta. Grupa dzieci stoi przed wejściem do licej, obudowanej drewnianymi szopami przybudówki, która zapewne jest ich domem, szare bez wyrazu niebo, przybrudzony śnieg na stoku wzgórza. Jest Szeroka sfotografowana z bramy na Kowalskiej – ulica mająca swój wiersz w Poemacie, ulica zapachu piekarń i dojmującej samotności. Jest Podwale (istniejące do dziś) z widokiem spływającej ze wzgórza staromiejskiej kaskady kamienic, domów,

domków, bud, przybudówek, drewnianych płotów i parkanów, całej tej niezwykle malowniczej w swym nieodgadnionym porządku architektury wiekowych kamieni, cegieł i zmuszałego drewna. Gromadka dzieci w płaszczach, czapkach na głowie być może zmierza do szkoły, brudny, topniejący śnieg pokrywa ulice. Na tej ostatniej fotografii oraz na zdjęciu przedstawiającym Bramę Żydowską (Grodzka) trafiamy na motyw szczególnie. To widoczna na tych zdjęciach uśmiechnięta twarz chłopca wychylająca się spoza kadru w dolnym prawym rogu. Nadaje im rysu szczególnego ciepła. Zdjęcia utrwalają przez to nie tylko nabrzmiałe historią miejsca, ale też i jakąś osobistą historię, prawdopodobnie żydowskiego chłopca, który mieszka zapewne w jednej z kamieniczek przy ulicy Zamkowej lub Krawieckiej. Być może nigdy nie dowie się, że pan, który tego zimowego dnia robił zdjęcia w okolicach jego domu i który mile się do niego uśmiechnął, gdy chłopiec tak nagle wystawił swoją głowę przed obiektyw aparatu, to poeta, który w swych smutnych wierszach przeczuł już i wyraził ów straszny czas, który miał dopiero nadejść i tak boleśnie doświadczyć to miasto razem z jego ludem.

Nie ma na zdjęciach Czechowicza nic z cudowności i arkadyjskości poetyckiego obrazu. Zamiast metafory dosłowność najbiedniejszych dzielnic Lublina: Starego Miasta i dzielnicy żydowskiej, omijanych zazwyczaj przez mieszkańców zamożnego Śródmieścia, zapomnianych, bytujących jak gdyby poza granicą świadomości, we własnej zamkniętej murami przestrzeni. Dla Czechowicza była to dosłowność diamentu ukrytego pod warstwami brudu i nędzy, którego blask połyskujący, niczym mokry bruk na zdjęciach, odkrywał i przetwarzał w poemat. Jednakże dla tego, kto dziś czyta wiersze poety, jest to dosłowność, która potęguje tragiczny rys metaforycznej wizji miasta – miasta, nad którym zawisła groźba zagłady i runie na nie, niczym „niedźwiedzie nocy” z wiersza o Wieniawie. Dosłowność, która jest tak całkowicie przeciwna wizyjnej symbolice poezji, u Czechowicza splotła się z nią w jeden nierozzerwalny węzeł. Musimy sobie uświadomić, gdy przypatrujemy się zdjęciom Czechowicza, że uczestniczymy być może w szczególnym misterium, podczas którego poeta wykreśla przejmującą figurę zagłady. Nie jest to figura oparta na przewidywaniu i wieszczaniu przyszłości. W 1934 roku Czechowicz nie mógł w żaden sposób przewidzieć, co czeka mieszkańców Starego Miasta i Dzielnicy Żydowskiej w roku 1943, choć przypadkowa anagramiczność tych dat przejmująco wzmacnia ich figuralne znaczenie. Jest to przede wszystkim figura oparta na wizji ziszczającego się tragicznego mitu, którego linie kreślił poeta w swej twórczości z jakimś niezwykłym przeświadczeniem, że w końcu muszą się one zamknąć i dopełnić, a punkt, w którym wszystkie linie się zejdą, może być tylko miejscem bólu, zniszczenia i śmierci.

Poezja byłaby niewiele warta, gdyby potrafiła jedynie wyprzedzać w czasie to, co i tak nieuchronne. Będąc wyprzedzającą pamięcią tragicznej nieuchronności, zarazem chroni i ocala rzeczywistość w takiej mierze, w jakiej poeta zdoła przetworzyć jej kruchość, szarość, ból i nędzę w sile poetyckiego obrazu. Poetycka figura zagłady tylko wtedy staje się znaczącą i ludzką, jeśli zrodziło ją pragnienie ocalenia świata – ocalenia w pięknie, w micie, w twórczej wyobraźni i pamięci. Miasto Czechowicza, Lublin, przetworzone mocą poetyckiej wyobrazi w poemat, jest niewątpliwie wyrazem takiego pragnienia. To żywe rodzinne miasto, które niejednokrotnie

doświadczyło go boleśnie, przeobraża poeta w miasto bytujące na granicy czasów baśni i zagłady, w archetypicznej przestrzeni nocy, która jednak rozświetlona blaskiem księżycowego światła nie pogrąża go w ciemności, lecz w przedziwnym srebrnym spokoju. Nie tyle jest, co raczej ukazuje się i zjawia wśród zamglonych lak, wzgórz i wąwozów („Lublin nad łąką przysiadł”), niczym eschatologiczna Jeruzalem. Tak właśnie należałoby rozumieć to ocalające przeobrażenie miasta - to Nowa Jeruzalem, jak Żydzi zwali Lublin. Nie jest to jednak Jeruzalem słoneczna, symbol eschatologii zbawienia, lecz Jeruzalem Czechowiczowskiej eschatologii negatywnej: srebrna Jeruzalem, miasto pogrążone w mroku i na zawsze wyludnione, w którym żywe są jedynie dramatyczne ślady ludzkiej obecności. Jaki wobec tego jest sens fotografii Czechowicza?

Przypomnijmy, że poeta fotografuje miasto, w którym od roku już nie mieszka, do którego będzie mógł jedynie wracać, aż do tego ostatniego, tragicznego powrotu we wrześniu 1939. Można by przypuszczać, że wspomaga zdjęciami swą pamięć i sentymentalną potrzebę utrwalenia miejsc bliskich sercu. Ale mamy też prawo przypuszczać, że stanowią one szczególną „negatywową” ikonografię miejsca, które w poetyckiej świadomości poety już uległo przeobrażeniu i zmieniło swój bytowy status, stając się bardziej miastem trwającym w przestrzeni mitu niż w rzeczywistości. Innymi słowy – jakkolwiekby to brzmiało absurdalnie – możemy przypuszczać, że poeta bardziej niż miasto fotografuje poetycką wizję, to miasto bytujące - jak się wyraził w *Elegii uśpienia* - „w krwawych ciemnościach czaszki”, bo w nim dopiero „na bruku się kłęka”. Oto dwa stany tej samej rzeczywistości, dzień i noc: zdjęcie przedstawiające uliczkę Wieniawy - żydowskiego przedmieścia Lublina i utwór o tym właśnie tytule.

Wieniawa to stara dzielnica Lublina, położona na obniżeniu za Ogrodem Saskim, od wieków zamieszkała przez ludność żydowską i stanowiąca odrębną gminę (posiadała niegdyś własne prawa miejskie). Mało miasteczkowa w charakterze zabudowa koncentruje się wokół synagogi z chederem, łaźnia i cmentarzem. To w Wieniawie zatrzymał się Jakub Icchak Horowic, cadyk zwany Widzącym z Lublina, zanim na stałe zamieszkał u podnóża zamku na ulicy Szerokiej. Na zdjęciu widzimy niewielkie, mocno nadszarpnięte czasem, rozrzucone w malowniczym bezładzie domki. Zapadające się dachy, zmurszałe ploty i schody. Na ulicy dwie otulone chustami kobiety i gromadka dzieci. Drzewo pozbawione liści, szare niebo. Dwójka dzieci uśmiecha się do fotografa. Jedna z kobiet i mała dziewczynka w białym płaszczyku wpatrują się w coś, co znajduje się pod ich nogami. Pochylają się. Na bruk padają cienie całej grupy. Jest zima lub wczesna wiosna 1934 roku. Kobiety i dzieci wpatrzone w połyskliwy bruk swej uliczki nie zauważają, że nad ich miastem zawisł już cień zupełnie inny.

Utwór poetycki przedstawia Wieniawę nocą. Niezwykła metafora konstruuje arkadyjski wręcz obraz uśpionego żydowskiego miasteczka z „domami, zajazdami i bóżnicami”. Ale zarazem metafora ta opowiada nam o dziwnej historii, jaka rozegrała się owej nocy nad miastem. I nie jest to, jakby się może mogło wydawać, wyłącznie obrazowa przenośnia, oddająca złudną grę światła i porównująca ciemne chmury wiszące nad Wieniawą do kudłatych bestii. To raczej mowa mitu, który posługując się metaforą i obrazem, przemawia jednak i dosięga świata i ludzi swoją

dosłownością. Oto na miasto, jego domy, bóżnice i zajazdy spadają „niedźwiedzie nocy”, bestie popychane żądzą zniszczenia i zagłady miasta. Wieniawa broni się nikłym światłem swych latarni. Walka jest nierówna. Światło latarni „przeciw niedźwiedziom to mało” - pisze poeta -

Ach, trysnęłyby niskie pułapy -

ale już zajaśniało

Pejzaż: Wieniawa z księżycem

Owej nocy Wieniawa uratowana zostaje przez światło księżyca. Księżyc, który „świat ku światłu przechyla”, staje się makiem kruchej równowagi między istnieniem a zniszczeniem, między trwaniem miasta a jego zagładą. Owej nocy uratowany został nietrwały, arkadyjski pejzaż miasteczka rozświetlonego blaskiem jego srebrnego światła. „Niedźwiedzie nocy” nie tylko symbolizują stale pojawiającą się nad miastem groźbę zagłady, obrazują jednocześnie charakter owej nieludzkiej siły, niszczącej domostwa i świątynie. Runa na nie niechybnie, gdy tylko zachwiana zostanie miara owej niezbędnej porcji światła, bez której świat istnieć nie może. Czechowicz nie miał wątpliwości, że miara ta już została zachwiana. Czas dopisał strony przejmującego ziszczenia tej mitycznej historii, ziszczenia w najpotworniejszy sposób dosłownego. „Niedźwiedzie nocy” dopełniły dzieła zagłady w 1943 roku, gdy cała ludność przedmieścia została przez Niemców deportowana, a następnie zamordowana w leżącym po przeciwległej stronie Lublina obozie zagłady na Majdanku. „Domki, zajazdy, bóżnice trzasnęły nie tyle pod mroku cichego łapą”, jak pisał poeta, ile pod brutalną siłą esesmańskich buldożerów. Wieniawę zaorano, a na jej miejscu wytyczono boisko do gry w piłkę nożną. Pierwszy mecz rozegrały drużyny esesmanów. Podobny los spotkał całą żydowską ludność Lublina. Szesnastowieczną dzielnicę żydowską rozłożoną u podnóża zamku zburzono, miejsce po niej zaorano i zasiano trawą. Tam, gdzie wokół wzgórza zamkowego wiły się dwie najbardziej malownicze, choć i najbiedniejsze ulice miasta: Krawiecka i Podzamcze, trawa rośnie do dziś i jest niczym łąka, nad która przysiadł pogrążony w ciszy Lublin.